

Od autora: Co ludzi łączy i dzieli.

Krystyna Habrat

MAM!

Zobaczyła go, jak tylko uchyliła drzwi. Siedział, oczywiście, wpatrzony w telewizor. Ani drgnął. „On jeszcze nie wie” - zaśmiała się w duchu i już chciała obudzić go okrzykiem: „Mam!”, ale zagryzła usta.

Z trudem zdejmowała płaszcz. Szarpała szalik. A jeszcze po schodach wbiegła żwawo podniecona radością. Dopiero w progu ją ścięło, gdy weszła w to, co dzień po dniu od lat trzydziestu z hakiem. Rzuciła w jego stronę wątle „cześć” i wołała nie wiedzieć, czy odpowie. „Odpowie? Raczej odburknie” – skostatowała, znikając w kuchni. Opadła na taboret i skryła głowę w ramiona, skrzyżowane na stole obok talerza zapaćkanego jajecznicą.

„Nawet nie spojrzał” - myślała z goryczą. Za to pacjenci ją kochają. Mówią, że już jej dotyk ma dobroczynny wpływ. I słowo otuchy. Ona nie spieszy do domu jak inni lekarze. Przyjmie nawet po godzinach. Wysłucha, pokiwa głową ze współczuciem, że aż tak boli, że dziecko nie chce się uczyć. Doradzi coś. Nie wiedzą, że siedziałyby z nimi dzień i noc, i każdego przytuliła do serca.

Ale nie tak dawno Łukasz okazał jej łaskawość. Kiedy załatwiła mu adwokata. Jakby wreszcie przełknął to coś, co dusiło go w gardle od śmierci matki. Gryzł się, czy wypada występować przeciw bratu i siostrze? Głupi! Przecież to jego, pierwородnego, matka kochała nade wszystko! Na pewno jemu by wszystko zapisała! Dom z ogrodem i oszczędności. Nawet gdyby nie mąciła jej myśli skleroza. Łukasz rozpieszczony, bardzo się wszystkim przejmuję. W sądzie na pewno by zapomniał języka, jak coraz częściej mu się zdarza. Musiała mu wynająć adwokata. Niech ich ludzie obgadują. A co tam! Gdy mu to wtedy powiedziała, wyjął koniak i usiadł koło niej.

- Jak wyglądam? - odważyła się wtedy spytać, przełykając trunek, za jakim nie przepadała.
- Ujdzie - odparł, ledwo musnąwszy ją roztargnionym okiem.

Jednak to prawda, co usłyszała w drugi dzień po ślubie na poprawinach. Był na rauszu, bo jak na ponurego mruka, dość rozmowny, ale nie żartował, gdy biorąc ją pod brodę, oznajmił ze śmiechem wszystkim przy stole: „Brzydka ta moja żona, prawda? Ale bogata!”

Nigdy nie zapomni ciszy, jaka po tych słowach zapadła. Jego koledzy i rodzeństwo: Gośka i Zenek, odwrócili głowy. Tylko teściowa zaśmiała się z cicha.

Dotąd czuje tamten ból, gdy Łukasz wykręcił jej rękę, jak próbowała uciec wtedy od stołu sprzed oczu gości weselnych. Pragnęła zapłakać gdzieś w kątku. Tamtego dnia poprzysięgła zemstę.

A jakież to ona miała bogactwo? Brata w Ameryce, który przysyłał paczki z ciuchami? Etat w przychodni, szpitalu i prywatnie, na co poświęcała cały boży dzień, że zabrakło czasu na wcześniejsze obejrzenie się za mężem? Jajka, jakie przynoszą wdzięczni pacjenci z podmiejskiej przychodni? Zapisany przez matkę dom na wsi? Brat z Chicago na zapis przystał, nie zamierzał wracać. Miała więc dokąd uciekać. I uciekała. Nie jeden raz po ślubie. Łukasz przyjeżdżał po nią skruszony. Potrzebował jej. Wracała.

Nie zabrała przecież sukienek. Mieli dzieci. To nic, że się go bały. Milkły przy nim. Jak wchodził, nieruchomiały i traciły ochotę do zabawy. Zmykały mu z oczu. Nawet po latach, gdy leżał w szpitalu po udarze, odwiedzały go z musu. A jak już, to siedziały obok jego łóżka markotnie. Teraz i córka i syn mają swe osobne życie też otoczone milczeniem, jak każde z nich tutaj.

Tak, Łukasz bardziej potrzebuje pomocy. Ona wie aż za dobrze, że pod powłoką waźniaka na stanowisku kryje się wystraszone biedaczysko. Takim, jak on, rozdygotanym lękami o stołek, bardziej grozi zawał. Ta choroba dyrektorów. Ma obowiązek dbać o jego zdrowie. Do tego wciąż pociągać sznurki znajomości i układów, żeby piał się w górę. Nie bez powodu zrobiła specjalizację z kardiologii. Trafia do niej niejeden nadęty waźniak i w jej rękach mięknie.

Tylko nikt nie powinien zauważyć, jak się Łukasz mało nadaje na swe stanowisko. Zawsze pragnął być ważny. Ale tak na skróty. Zamiast specjalizować się w zawodzie, robić uprawnienia, popijał z kim trzeba i biegał na zebrania partyjne. Lecz i tam milczał. Raz wyznał z oporami, że bardzo chce zabrać głos, ale mu gula w gardle nie pozwala. Oj, nie jest on elokwentny. Pełen kompleksów i lęków, robi wrażenie gapowatego. Bo tak go matusia rozpieściła. Sprzątała mu sprzed nóg najmniejszy proch. I takie są teraz skutki. Dopiero przyparty do muru, gdy braknie mu argumentów czy znajomości rzeczy, wrzeszczy w niebogłosy. Wtedy staje się dzierzymordą, który potrafi wszystko. Tylko ona wie, że to krzyk bezradności. Tknąć go palcem, a padnie. Nie na darmo wziął na żonę ją, przedsiębiorczą, pewną siebie lekarkę. Zawsze mu powtarza: "Nie bój się. Już ja coś wymyślę."

Podniosła się wreszcie od stołu ciężko, jakby jej nagle przybyło kilogramów. Nalała wody do czajnika. Zaparzy herbaty i wtedy mu powie. Powinien się ucieszyć. Spojrzeć na nią.

Nie zauważył nawet, jak rok temu zmieniła kolor włosów. To mógłby, ale że usunęła zmarszczki - lepiej nie. Ani operacji nosa. Termin wybrała na jego wyjazd w Alpy na narty. Po powrocie nie zareagował. Może tylko nie chciało mu się otworzyć ust? Może mężczyźni są właśnie tacy? Za mało ich znała. Najpierw tylko się uczyła. Potem robiła specjalizację, chwytając różne możliwości pracy. Mówiła sobie, że to dla zdobycia doświadczenia, ale każdy grosz się też liczył.

Długo zarabiała więcej od niego, bo harowała w przychodni, szpitalu i na własny rachunek. Często brała dyżury. Wolala tak, niż czekać, kiedy wróci od tej swojej... Gdy tę przeczekala, nastala druga. Potem straciła rozeznanie. O czym ten mruk z nimi rozmawia? Musiał o czymś i tego im najbardziej zazdrościła. Wyjeżdżał ciągle w delegacje, na narty, regaty, jazdy konne. Jej nie zabierał. Tylko pieniądze od niej. Tak go kupowała, żeby wrócił, żeby był... Gdy raz ociągała się z oddaniem mu samochodu, a w jego rdza przegryzła blacharkę, warknął jej w twarz:

„Jak ty jesteś chytra! Taka prawdziwa: >>Mam<<!”

Wtedy oblało ją gorąco, bo zrozumiała, że to „Mam” wcale nie jest pieszczotliwym skrótem od mamy. Nagle uświadomiła sobie, że ile razy udało jej się zarobić więcej albo przynieść dowody wdzięczności od pacjentów, - wołała od progę: „Mam!”

Pacjenci ją przecież doceniają. Odwdzięczają się, jak potrafią. Przed świętami w całej poradni pachnie kielbasą, jakiej pękate pakunki przynoszą ci ze wsi. Gdzie indziej dają kwiaty, a tu pęta swojskiej kielbasy. Takiej ciemnobrązowej, naczosnkowanej...aż leci ślinka. I jeszcze jajka, dawniej w torebkach po cukrze, teraz elegancko w pojemnikach po 10 sztuk.

Ile razy wyciąga w domu te zawiniątka z kielbasą czy jajka, Łukasz ironizuje: „O! Mam znowu coś przytargała...” Milczek, a potrafi dociąć.

Dopiero tamtego dnia zrozumiała... Oblał ją wtedy rumieniec wstydu i bez słowa podała mu kluczyki samochodu.

Co, miała robić afront wiejskim babinom i wyrzucać je z tymi jajkami? Mówiły, że czują potrzebę rewanżu za dobro. Tak cieszyły się, że zdrowieją i potem, że przyjmuje od nich te drobne dowody wdzięczności. Jednak Łukasz zabierał skwapliwie te jajka i dla swej matki, gdy jechali do niej na niedzielny obiad. Teściowa pospiesznie chowała do lodówki pojemnik za pojemnikiem. Robiła im zaraz z nich omlet albo jajecznicę. Odkąd z wiekiem przestała hodować kury i gęsi miała czas, by tak pichcić, podczas gdy jej, zapracowanej pani doktor, nie wypadało się z tym cackać.

Teściowa nie była przychylna ożenkowi swego synusia. Żadna panna jej nie pasowała, a po prawdzie chciała go mieć dla siebie. Później, gdy próbowała się jej skarżyć, prychała przez zęby, że sama za nim ganiała jak kot z pęcherzem, bo miała już swe lata, to teraz ma. Wiedziały gały, co brały. Zresztą on dla niej i tak za dobry.

W ostatnich latach teściowa zanudzała coraz dłuższymi opowieściami z dzieciństwa, ale nie pamiętała, czy wczoraj coś w ogóle jadła. Potem, jak ją odwiedzali, obiad już na nich nie czekał. Jajka w lodówce rosły w stosy, zalatywały stęchlizną. Łukasz machał tylko ręką: A, niech ich nie je. Może naprawdę wywołują sklerozę? Mają tyle cholesterolu...

Ale sam ich sobie nie odmawiał. Bagatelizowała to, a w duchu powtarzała z satysfakcją: „A niech tam! Za wszystkie moje prześlakane noce. Będzie musiał poprosić mnie o pomoc. Wtedy ja...”

Czajnik dawno się wyłączył, a ona wciąż rozmyślała. Włączyła go znowu i przygotowała dwie szklanki. Już miała je nieść do pokoju, ale zawróciła po apaszkę w tureckie wzory z paczki od brata. Zawiązała ją pod szyją. Przechyliła w lustrze głowę. Ładnie. Dziś Łukasz musi popatrzeć łaskawszym okiem.

Znowu ledwo się powstrzymała, by nie krzyknąć od progu z triumfem „Mam!”. Odebrała przecież list z sądu zanim wyszła do przychodni. Teraz i on będzie miał własny dom na wsi, jak ona. Nie licząc tego mieszkania w bloku, będą mieli jeszcze dwa domy. Ona swój, on swój. Kto ma aż tyle?!

Czy mąż to doceni?

Ujęła to ostrożnie. Czekala, co odpowie. Przecież to ona wszystko wymyśliła. Ona zapisywała teściowej recepty na cukrzycę, serce, wątrobę. I na nerwy, żeby przestała wygadywać, że zaniedbuje jej synusia. Mama stawiała się powolna, ospała. Należało ją dopilnować, żeby zrobiła testament. Na ich korzyść! Jeszcze wtedy nie miała takiej sklerozy!

Pewnie teściowa już wtedy nie pamiętała, co powiedziała, gdy się jej kiedyś skarżyła na Łukasza. Jak młoda dziewczyna czeka na wymarzonego chłopaka, to słyszy wielki dzwon, który bije: tylko ten, tylko ten. Upłynie kilka lat, a ciągle niezamężna, to już jej podzwania mniejszy dzwonek: i ten i tamten; i ten i tamten. A gdy już ma pod trzydziestkę kołacze jej tylko w głowie mała sygnaturka: taki siaki bylejaki, aby był; taki siaki.

Dobrze zapamiętała tamte słowa. To miał być przytyk do jej dwudziestu siedmiu lat, gdy wychodziła za

Łukasza. Ale teściowa była z innej epoki, gdy dziewczyny nie szły na studia, nie zostawały lekarzami, miały tylko jeden cel: wyjść jak najszybciej za mąż. Ale po namyśle teściowa się zreflektowała: "I tak mój syn nie był dla ciebie." No tak, on w oczach matki nie był byle jaki. W jej też był wymarzony.

Miała kochać taką teściową? Zabiegać, by unikła otępienia?

Łukasz ciągle siedział nieporuszony.

- Wygraliśmy! Prawie wszystko dla nas! – wykrzyknęła wreszcie, bo już nie mogła dłużej czekać jego reakcji.

- To już ich nigdy nie zobaczę? – wybąkał wreszcie.

- Kogo?

- No, Gośki i Zenka...

- Masz przecież mnie!

Przełknął gulę w gardle i szepnął bezbarwnie:

- Tak. Mam.

Krystyna Habrat

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Krystyna Habrat, dodano 23.03.2013 11:30

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.